

# Nowy tradycjonalizm w urbanistyce: miejski socjocosmos i jego odczytanie

Rafał Mišta

**M**iasta mają podwójną naturę. Z jednej strony niewątpliwie są częścią świata społecznego – można wręcz mówić o nich jako o laboratoriach społecznych. Mają swój załączek rządów i prawa, własną gospodarkę, a nawet własny *Zeitgeist* odzwierciedlający się w specyficzności tworzonych w nich idei. Z drugiej strony, jest w miastach coś, co łączy je ze światem przyrody. Jest w nich pewna łączona z działaniem natury nieuchronność, polegająca na zasysaniu przez nie pod swoje ramiona mieszkańców z najdalszych zakątków świata i na ciągle wzrastającej roli ekonomicznej i politycznej, jaką pełnią w otoczeniu. Miasta mogą być przy tym małe lub duże, ale niezwykle trudno jest dopatrywać się sił ludzkich, które zrobiłyby ot tak z Kielc Warszawę, a z Warszawy Suwałki. Z naturą dzielą miasta również przypadkowość. Co bowiem zdecydowało o tym, że wiodącym ośrodkiem miejskim zachodniego świata były lub są Wenecja, Antwerpia, Amsterdam?

Miasta są bliskie przyrodzie także z tego powodu, że współdzielą cechy organizmów. Jedną z ważniejszych dziedzin badań miast są badania miejskiego metabolizmu – miasta, tak jak organizm, aby się rozwijać, muszą pobierać energię i materię z otoczenia. Jeśli wierzyć fizykom, zwierzęta podlegają prawom alometrii, co oznacza, że ich wielkość jest ściśle powiązana z ich funkcjonowaniem, a zależność ta jest taka sama i dla małych miejscowości, i dla olbrzymich metropolii. Podobnie jest z organizmami zwierzęcymi, u których częstotliwość oddechów bezpośrednio powiązana jest z masą ich ciał poprzez parametry tej samej wielkości – niezależnie, czy chodzi o mysz, czy o wieloryba.

Celowo zamieszczam ten przydługi wstęp, aby pokazać, że miasta – mimo wszelkich widocznych gołym okiem różnic – są tak samo zakotwiczone w ograniczeniach biologicznej egzysten-

cji, jak przeciwstawiane im w sielankowych obrazach wspólnoty wiejskie. Przestrzeń miasta nie zasługuje na traktowanie niczym wieża Babel, w przeciwieństwie do której – ostatecznie kruchej ludzkiej konstrukcji – miasta niezwykle trudno zabić, nawet jeśli trafiają w nie bomby atomowe, albo ich ludność wykrwawia się w dwumiesięcznym powstaniu. Jeżeli umierają, jak Detroit, to raczej w zmęczeniu i wyczerpaniu. Miasta to socjokosmos, w którym według szacunków demografów ma mieszkać za 30 lat niemal dwie trzecie ludzkości, a który nieustannie prosi się o ujarzmianie na nowo. Historia owego brania miast w karby dość dobrze wpisuje się w szerszą historyczną inscenizację. Prawie wiek po Rewolucji Francuskiej, odbyła się pomnikowa przebudowa Paryża, zarządzona przez Hausmanna, kosztująca zrównanie z ziemią 20 tys. starych budynków, aby w ich miejsce mogło powstać dwa razy tyle nowych. Prawie wiek po XIX-wiecznych inwestycjach kolonizacyjnych, miasta doświadczyły beztraskiego prowadzenia autostrad przez ich centra oraz budowy bloków mieszkalnych czy to pośród pól, czy też w środku starej historycznej zabudowy.

W tym kontekście interesujący wydaje się ruch w urbanistyce mający związek z zeszłą rewolucją postmodernistyczną i jej następstwami oraz przejściem społeczeństw Zachodu do tego, co Roman Inglehart określił jako kulturę postmaterialną. Jego sztandarową – i jedną z najciekawszych – postacią jest Luksemburczyk Leon Krier, autor koncepcji „nowego tradycjonalizmu”. Tradycjonalizm rozumiany jest tutaj jako przeciwieństwo modernizmu, a nie nowoczesności. Odwołuje się on również do tradycji w pewien sposób wyidealizowanej, sztucznej. Jest to ten sam rodzaj użytkowego neotradycjonalizmu, który czyni np. z muzyki ludowej środkowej Francji taneczną muzykę balfolkową czerpiącą bez trudności ze współczesnej muzyki rozrywkowej i tradycji muzycznych innych części Europy.

Neotradycjonalizm urbanistyczny widzi pustkę spowodowaną przez nowoczesne karczowanie miasta i próbuje zaradzić temu poprzez odwołanie się do tych elementów przeszłości, które umożliwiły budowę takiej topologii miasta, jaka daje wrażenie naturalności i oczywistości. Problem związany z modernizmem można opisać zatem jako problem z właściwym odczytaniem

prawdziwej przestrzeni miasta, jako błąd percepcji wynikający z nadmiarowego dostępu do zasobów. Sprzężenie z pracą przemysłu opartego na nieodnawialnych paliwach płynnych zrodziło architekturę nadużywającą przestrzeni i zrywającą z ciągłością technik budowlanych kształtujących dotychczasowe otoczenie – mniej lub bardziej odpowiadających skrytej w ludziach biofilii. To są przyczyny krytyki zastałej przez Kriera urbanistyki, którą na poziomie elementarnym streszcza on następująco: produkcja obiektów przeznaczonych do konsumpcji, a nie długotrwałego użytkowania; innowacja jako cel sam w sobie, a nie środek do osiągnięcia celu; monofunkcjonalność wymuszająca nieustanne przemieszczanie się zamiast pieszo-odległych struktur w rodzaju „karcza-kościół-młyn”; oraz symboliczna ubogość związana z uniformizacją i niedopasowaniem do lokalnego kontekstu<sup>1</sup>. Krier określa w związku z tym modernizm jako „bezmowny” i „niepiśmienny”: *zamienił poliglotyczny język architektury o nieskończonej różnorodności w esperanto syntetyków*<sup>2</sup>.

Powyższe refleksje stały się fundamentem tzw. „nowego urbanizmu” – koncepcji nawołującej do przywrócenia zróżnicowanego i estetycznego charakteru miast oraz łączącej go z wygodą i dbałością o środowisko. Ponieważ socjokosmos-miasto-organizm miał zbyt dużo pożywienia, wykorzystał to do rozbudowy ogromnych wewnętrznych organów, jednocześnie zaburzając własną wewnętrzną równowagę. Tymczasem miasta posiadają ograniczoną tolerancję: sprawnie funkcjonują tylko dla parametrów leżących w pewnym optymalnym przedziale. Krier powołuje się w tym kontekście na zdanie z arystotelesowskiej „Polityki”: *Przećież i państwo (miasto) ma miarę wielkości, podobnie jak wszystkie inne rzeczy, zwierzęta, rośliny i narzędzia*<sup>3</sup>. Jeżeli zatem miasto rozrasta się do niebotycznych rozmiarów, jedynym rozwiązaniem jest stworzyć mniejsze miasta w miastach. Wraz z nimi odbudowywane mają być sąsiedzkie wspólnoty oraz poczucie miejskiej obywatelskości. Sztandarowym konceptem nowego urbanizmu jest zatem miasto placów (czy też miasto sąsiedztw), w którym ontologia skierowana na ciągi komunikacyjne staje się ontologią skierowaną na miejsca do i przez które prowadzi. Metodą nowego urbanizmu jest zasada złotego środka. Jeżeli za duże – to dzielić. Jeżeli za ubogie – wzbogacać.

<sup>1</sup> L. Krier, *Tradition – Modernity – Modernism: Some Necessary Explanations*, Architectural Design 57, 1987. <http://zakuski.utsa.edu/krier/tradition.html>

<sup>2</sup> Arystoteles, *Polityka*, ks. VII.

<sup>3</sup> L. Krier, *The Debate: Merits of Postmodern Architecture. Vision. Fresh Perspective from Dubai*, 2012. [http://vision.ae/en/special\\_report/the\\_debate\\_merits\\_of\\_postmodern\\_architecture](http://vision.ae/en/special_report/the_debate_merits_of_postmodern_architecture).

Jeżeli wobec tego ktoś żałuje rozpadu organicznej przestrzeni, jaką opiewają duchowi agraryści, to metodą Kriera jest odtworzyć ów długotrwały naturalny proces jej powstawania poprzez tworzenie tzw. kodów architektonicznych, do których dostosowywany ma być rozwój miast. Nowi urbaniści badają, jakie procesy i jakie formy kształtują to, co jesteśmy skłonni uważać za piękne w architekturze i zagospodarowaniu przestrzennym, a następnie formułują z tego zestaw regulacji i planów umożliwiających ich odtworzenie we współczesnych miastach. Idea budowania organicznej różnorodności poprzez replikowanie odpowiednich operacji i procedur przypomina sposób w jaki powstawały gotyckie dzieła architektury. Gotyk – w przeciwieństwie do następujących po nim stylów architektonicznych – tkwił w procesie, w prostych i geometrycznych operacjach tworzenia prowadzących do uformowania obiektu, a nie w kanonie opisującym gotowy obiekt. W taki sposób tradycja symuluje naturę, a neotradycjonalizm tradycję. Skoro miasto to organizm, największą sztuką jest odpowiednio wykorzystać jego rozrastanie się według tego, co Czesław Bielecki określił jako miejskie DNA, zapewniające ciągłość urbanistyczną nawet tam, gdzie z premedytacją była ona niszczona.

Nowy urbanizm ma już 30 lat, a jego wpływy obecnie widoczne są mniej lub bardziej gołym okiem w coraz silniejszych dążeniach rekonstrukcyjnych – znaku pojawiającym się na miejskiej skórze, przykrywającej głębszą potrzebę silnego ciała wspólnotowości oraz potrzebę sensów, stanowiących miejską duszę. W Berlinie właśnie odbudowywany jest zamek cesarski (dla odrzucenia imperialnych skojarzeń, mający stać się siedzibą muzeum ludów nieeuropejskich), w Polsce zaznaczają się zwolennicy odbudowy Pałacu Saskiego. Głód znaczeń wymaga przy tym jednak pracy o dużo bardziej organicznym charakterze. Tak jak główne arterie – geometrycznie regularne i ulegające niewielkim zmianom swego przebiegu – rozpinają sieć wokół, której wyrastają kwartały budynków (tzw. *foreground network*), tak drogi o podrzędnym charakterze układają się według losowych i względnie często zmienianych kierunków (*background network*). Podobnie jest z siecią znaczeń, gdzie obok wielkich arterii, które w Warszawie wytyczają m.in. Pałac Kultury i Nauki, Muzeum Powstania Warszawskiego

czy ostatnio Muzeum Historii Żydów Polskich, do zagospodarowania pozostają rozliczne małe historie praskich podwórek, pamięć o dawnych kawiarniach i melinach, kapliczkach oraz miejscach wyrafinowanych mordów, będących istotnymi dla nikogo więcej poza tymi, którzy żyją najbliżej nich. Aby nasycić całą miejską tkankę, należy się napracować się nad dostarczeniem pokarmu każdej komórce.

Gdybym miał zwolennikom nowego tradycjonalizmu w urbanizmie zadać jakieś pytania, byłyby one dwa. W jaki sposób widzą zmieniającą się rolę czegoś tak potencjalnie zawadzającego i kłopotliwego jak miejskie cmentarze? Cmentarze tradycyjnie były zawsze częścią miasta, dopiero od XIX wieku zaczęto przenosić je (z czysto pragmatycznych względów) na peryferia. Drugim ciekawym zagadnieniem jest to, jak zanurzyć miasto w tkance Polski, która przez wieki traktowała miasta jako ciało obce, w najlepszym razie konieczne. Zachwyty współczesnej Polski nad miejskością jest ponadto w jakiś sposób podobny do architektonicznego modernizmu, kiedy beztrąsko zrywa on z chłopską i szlachecką przeszłością tych ziem. Myślę jednak, że odpowiedzi byłyby rozwinięciem tej, jaką Krier udzielił Rogerowi Scrutonowi, który zapytał go, dlaczego w jednym z jego flagowych projektów (Poundbury – projektowane na zlecenie księcia Walii) nie ma żadnego kościoła. Architekt odpowiedział, że nie jego rolą jest dostarczać tego rodzaju obiektów, to rolą mieszkańców jest aby je chcieć<sup>4</sup>.

To jaką topologię obiektów i znaczeń zaszczepi w miastach współczesna urbanistyka zależy bowiem od tego, co wyczuwamy za fundamentalne dla funkcjonowania naszego mikrokosmosu, i na ile będziemy potrafili go opisać oraz wpleść w funkcjonalne potrzeby i technologiczne ograniczenia. Ruchy miejskie często interpretują to jako lefebrowsko-harveyowskie odzyskanie „prawa do miasta” – można to jednak potraktować jako anamnetyczne odzyskanie „pamięci”: odczytanie i przywrócenie pewnego immanentnego dla człowieka pragnienia istnienia specyficznie ukształtowanej strukturalnie wspólnoty. Struktury, która notorycznie jest naruszana przez brak koordynacji technologii, rozwoju wiedzy i właściwego wiązania ich z potrzebami człowieka. Ale taka jest natura miast: *miasta są niczym transformatory: podnoszą*

<sup>4</sup> R. Scruton, *Cities for Living*, „City Journal”, 18 (2), 2008.

*napięcie, przyspieszają zmiany i nieustannie wzburzają sposobem w jaki ludzie żyją* (za F. Braudelem<sup>5</sup>). Jeżeli jednak wierzyć fizykom, miasta – jak mysz i wieloryb – zawsze funkcjonują według tych samych praw. ■

<sup>5</sup> F. Braudel, *Kultura materialna, gospodarka i kapitalizm XV-XVIII wiek*, t. 1, Warszawa 1992.